Powieść i Nowela

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 17 SIERPNIA 1929 ROKU NR. 33

JERZY OSTROWSKI

16)

JAZONEJA

(POWIEŚĆ EGZOTYCZNA)

Rzuciły się na niego z furją:

— Wam to ino w głowie, gdzieby guza oberwać! A co tam kobieta i dzieci — to wam nic! Wam ino, żeby po świecie szpanować! Żeby zabawa i bijatyka! Żeby z roboty, co wam śmierdzi, się wykpić!

— Żeby...

Zakrzyczały chłopów do szczętu i poszły. Chłopi stali nieco skonfundowani i nie znajdowali argumentu na swoją obronę. Aż wreszcie któryś powtórzył:

— Ale to je chłop! — i wszyscy zaśmieli się beztrosko i wyzywająco.

* * *

Cobus, nie zsiadając z muła, stał przed gankiem Dyrekcji i rozmawiał prawie przyjaźnie z Reichem.

— Pan rozumie, że to i dla pana interes? Jak tak się jeszcze raz zdarzy — to ludzie z rozpaczy nie wiadomo co mogą zrobić.

Reich patrzył zpodełba i namyślał się.

— I cóż można zrobić we czterech, czy pięciu? Żołnierzy mi szkoda. Przecież ja za nich odpowiadam — bąknął jakby do siebie.

W trakcie rozmowy podjechał Lazaro i zatrzymał się obok. A zrozumiawszy, w czem rzecz, rzucił z pewną emfazą:

— Jeżeli żołnierze się boją — to pójdzie „caboclo". Tak, ja — Lazaro, pójdę z senhorem Chic'iem.

— Albo—wahał się jeszcze Reich—możebyście przystali za „bugreiros" — myśliwych na Bugrów.

— Co? — przeciągnął Cobus — za pieniądze, jak hycle...?

— Tak robią wszystkie kolonje niemieckie — odpowiedział spokojnie Reich. — Gmina opłaca „bugreiros", a ci uczą te małpy postrachu przed białymi.

Cobus odwracał już muła, kiedy Reich dorzucił:

— Mogę wam dać amunicji! I wszystkie dawniejsze wasze sprawki będą wam...

— Jakie sprawki? — rzucił się Cobus.

Reich milczał.

— A co do amunicji — z patosem dorzucił Lazaro. — To niech pan się jej nie pozbywa, bo zabraknie dla... Virgilia!

Reich sięgnął gwałtownie do pasa, ale opanował się i uśmiechnął pogardliwie:

— Powodzenia, bo-ha-te-ro-wie! — przeciągnął. Zatarł potem ręce i uśmiechając się, wszedł do domu.

Odjechali, Cobus sapiąc z pasji, a Lazaro gadając z podnieceniem o podłości wszelkich oficjalnych „czynników".

Wkońcu dodał z niejakiem wahaniem:

— Po tem, co powiedziałem — muszę już naprawdę jechać z wami. Zostawać na kolonji dla mnie teraz niebardzo bezpiecznie.

— Mundego już zdrów — powiedział nie słysząc tego Cobus — będzie nas zawsze trzech...

— E! — potwierdził z uznaniem Lazaro. — Będzie nas trzech.

Długo mówiono o tej dziwnej wyprawie i wróżono przeważnie źle. Obawiano się też naprowadzenia i rozdrażnienia „dzików". Wreszcie, gdy minęły trzy miesiące, a nie słychać było nic o śmiałkach — zaczęto powoli zapominać.

* * *

Jedna tylko Weronka pamiętała ciągle i marniała z płaczu. Ta krępa i silna dziewczyna wyschła na wiór, a w dodatku wracały się jej dziwne szumy w głowie od uderzenia pałką. Ręka jej źle zrośnięta bolała ją też często i była chudsza, niż druga. A wreszcie i Watrasowie przebąkiwali o tem, że jakoś trzebaby postanowić względem prowjantu, boć ten się już kończy... Niewesołe życie na cudzem — wiadomo.

Kiedy do świeżo zbudowanej, drewnianej kaplicy zjechał wreszcie ich „własny" ksiądz — ludzie popłakali się, jak dzieci.

Ksiądz był krępy, tęgi, czerwony, z silnym głosem i ostremi ruchami.

— No, no — pocieszał kobiety — niema czego beczeć. Bóg nad nami, panie tego... A kolonja widzę okazała! Kilka wend, domy spore, pola, słowem, błogosławieństwo Boże, panie tego!

— Zawsze to nie to, co u nas — chlipała któraś. Ani ludzkiego jedzenia, ani żyta jak się patrzy, ani...

— Nawet za tym śniegiem człowiek się stęsknił! — rzuciła druga.

Ksiądz namarszczył się okrutnie i krzyknął:

— Bóg jest wszędzie, powiadam, panie tego! No i ten, jakoś przecie będzie — stropił się nieco sam.

— A z Indjanami nie mieliście tu jakich, panie tego? Bo to mi mówili w Rio Negro...

— Było, było, proszę księdza... — odezwało się naraz kilka głosów.

— Ot, Kobusowie naprzykład...

— Franek, pokaż się!

— Cobusowa, idźcie do księdza! Całą rodzinę jej wybili... Ponoć na ich cmentarzu się pobudowali...

— Dopiero jej chłop ją odratował... Poszedł w lasy się mścić.

— Z pół roku go nie było... Wrócili, jak te dziady.

— Ano opowiedźcie! — zaciekawił się ksiądz i obejrzał się, gdzie usiąść. Siadł też byle gdzie, na jakimś balu, bo nie był hardy i z narodem był poprostu.

Ale Cobus niewiele umiał powiedzieć. No, i cóż tam takiego? Szli z Lazarem i Mundegiem. Polowali trochę, ale się bali, żeby nie dać znać o sobie. Więcej jedli „farofę". Kilku utłukli. Potem głodowali. Dowlekli się jakoś.

— A ot, moja kobita, to wojenna — śmiał się Cobus. — Do tej pory ma jeszcze rękę nierówną. Pokaż Weronka!

— Ee, tam! — zawstydziła się i zagadała. — Aleś ty opowiedział tak, jakby nic. A o Affonsie? Proszę księdza, znaleźli jednego takiego, co się na niego nasadzał. Już były same kosteczki, a w głowie kula, w czaszce. I pistolet trzymał, co od mojego dostał. Widać zabłądził i tak sam sobie zrobił.

Cobus spojrzał jakoś naraz ponad tłum i księdza, poruszony tym obrazem:

— Leżał biały i czysty, jak sama śmierć — powiedział. — To chyba na czwarty dzień go spotkaliśmy. Trzymał jeszcze mój picapau, a w białej czaszce była okrągła dziurka. I śmiał się temi zębami...

Wstrząsnęli się słuchający i ksiądz naraz się ocknął:

— Wielki to grzech, panie tego — powiedział, a potem, przypomniawszy sobie. — I zemsty szukać też grzech!

Cobus go, zdaje się, nie słyszał.

Ksiądz poszedł na obiad do Messla, bo ten mógł najlepiej wygodzić z jedzeniem, a kto tam nie szedł — zbierał się do domu.

— Franek, pójdziemy do domu — zaczęła Weronka.

— Idź, idź. Ja zaraz przyjdę.

— Do wendy pójdziesz, na pijaństwo? — rzuciła z goryczą.

— Do wendy pójdę, na pijaństwo — odpowiedział temi samemi słowami, i spojrzał na nią zimno.

— Franek, tyle razy cię proszę... Franek, przecie sam sobie krzywdę robisz... Ta wódka...

— Co ty wiesz! — powiedział naraz Cobus bardzo smutnie. Wiesz, co to wódka?

Odwrócił się od niej i szedł ku wendzie. Zebrało się tam już sporo mężczyzn i huczało wgłębi głosami. Wszystkie kobiety kupiły się koło wendy Messla, żeby być bliżej księdza. Tutaj, u Pankosza, było brudniej, huczniej i bardziej swojsko.

Z okazji przyjazdu księdza i jego pytań — wspominali sobie to i owo.

— Ho, ho! To były ciężkie czasy! A pamiętacie, jak kobietę Jankowskiego „dzik" strzałą trafił? Nie wyszłaby kobicina, żeby nie to sadło z „kapiwara"...

— Pewnie. A z Szukiem?

— Przecie tu, gdzie teraz Jurkowy „pajorek" stoi, najlepiej biło się „anty".

— Albo nie? Teraz gdzie lżej: ani „dziki" tak nie podchodzą, ani co...

— A przecie coś ze dwanaście rodzin poszło na piechty zpowrotem. Teraz byłoby im lepiej.

Cobus siedział i nic nie mówił. Pił tylko szybko kieliszek za kieliszkiem. Naraz zbliżył się do rozmawiających:

— Tylko moje rancho stoi, jak stało — powiedział.

— Jeszcze się pobudujecie — pocieszył go ktoś. — Stać was na to. I tak aż ludziom dziwno, że sobie uczciwej chałupy nie pobudujecie. Dla kogo te „mile" dusicie? Dzieci nie macie...

— Ja duszę? — zaśmiał się Cobus. — A ma który takie siodło? Albo takie muły i szkapy, jak ja?

— Wojsko będziecie z tych mułów robić, czy co? — śmieli się.

Cobus wzruszył ramionami:

— Lubię to.

— Niedługo z was będzie fazender, zamiast starego — zazdrośnie powiedział ktoś z kąta.

— Nie stoję o to — mruknął Cobus.

Postał jeszcze chwilę, ale gawęda nie wiązała się. Zawrócił do swego kąta i pił dalej. Było już dobrze pod wieczór i kurzyło się już dobrze z czupryn, gdy do wendy wszedł ksiądz. Uciszyło się powoli i słychać było wyraźnie powitanie księdza, które jakoś dziwnie zabrzmiało.

— Na wieki! — odpowiedzieli mu chórem.

— Który tu Cobus? — zapytał wtedy ksiądz.

— Ja.

— Człowieku, ty tu pijesz, a twoja żona leży bez pamięci!

Cobus przepychał się ku niemu:

— Co jej? — spytał prędko i ostro. — Żmija? Gdzie jest?

— Nie żmija, ale zgryzota. Do Watrasów zaszła i tam z płaczu zaniemogła. Podobno często na głowę słabuje.

— To jeszcze od tych „dzików" — mruknął Cobus i odsunąwszy nagle księdza z drogi, zniknął w drzwiach.

Ksiądz był nieco zdziwiony, ale zaczynał już powoli się przyzwyczajać do swobodnego sposobu bycia osadników.

A i w wendzie po chwili gwar wzmógł się na nowo. Nawet do księdza podeszli ze szklaneczką.

— Dziękuję, ja nie piję — powiedział surowo ksiądz.

— Nie niewolimy — odpowiedzieli mu wyrozumiale. — Każdy ma się rozumieć ma swój gust do tego, albo owego.

Ksiądz chciał jeszcze coś powiedzieć, ale rozmyślił się i wyszedł.

Komentowali to.

— Tak być powinno! — dowodził Wąsowiak. — Ksiądz ma być za przykład dla narodu.

— Pewnie! — odpowiedział mu Pankosz z przekąsem, czując, że dyskusja obraca się przeciwko konsumpcji „kaszasu" — ale niech innym nie rządzi. Bo dorosłe chłopy jesteśmy. No nie?

Od chwili już stał w drzwiach nowy przybysz, którego nikt nie znał. Ubrany był z miejska, ale obniszczony i pomięty. Słuchał z uwagą dyskusji i nawet powiedział głośno:

— Chłop, co nie pije — nie żyje, a gnije!

Obejrzeli się na niego zdziwieni i patrzyli milcząc. Uznał to za oczekiwanie prezentacji i zdjął kapelusz:

— Jestem nauczyciel. Szumny się nazywam. Przyjechałem tu niedawno z Polski.

(D. c. n.).

TRÓJKA TREFL

— A tamten? — zapytała. — Stało się już?

— Przed godziną — odparł piskliwy głos.

— Mówiono w sąsiedztwie na temat Rubisa... — zaczęła.

— Teraz już nic mówić nie będą — przerwał karzeł. — Za kilka godzin na jednym ze świerków kołysać się zacznie dziwny ptak. Wisielec będzie miał w kieszeni list, który wytłomaczy przyczynę samobójstwa. Nie będzie żadnych plotek na ten temat, mogę to pani przyrzec...

Podszedł do niej, wbijając się wzrokiem w jej twarz.

— Proszę mi pozwolić skończyć z tym Anglikiem — rzekł tonem błagalnym. — Kawał sznura... nie, to nie jest trudne, zapewniam, że to nie jest trudne.

Ścisnęła ręce i spojrzała prosto przed siebie w dolinę, pokrytą śniegiem.

— Nie, jeszcze nie teraz — rzekła wkońcu.

Lecz w głosie jej i spojrzeniu czuło się wahanie.

— Zdecydujesz się na to wkońcu — odezwał się karzeł — kiedy to kobieta twojego rodu pozwoliłaby, ażeby mężczyzna stanął wpoprzek jej drogi? Wiem, że zgnieciesz tego angielskiego szpiega, ty moja królowo!

Zgiął kolano. Wyglądał śmiesznie w tej pozycji. Wyciągnięte ramiona daremnie pragnęły pochwycić rękę Walerji.

— Czegóż nie moglibyśmy dokonać w tym wspaniałym kraju! Ty i ja, my razem! Rycerski, bohaterski kraj. Jestem ułomny, jestem potworny, jestem nieszczęsny i żyję jak w więzieniu. Ja, który uwielbiam piękno, muszę wlec za sobą to ohydne szkaradne ciało. A jednak, Walerjo, duch mój jest piękny. Pragnę rządzić, władać. I chociaż jestem tylko karłem, potrafię dokonać tych wielkich czynów, torujących drogę do tronu.

Obrzuciła go wzrokiem pełnym niesmaku.

— Gellercie, ależ to zakrawa na szaleństwo — odezwała się zimno.

— Nigdy dotąd nie widziałem cię pełnej wahania. Ten piękny Anglik paraliżuje twoją wolę...

— Hrabio! — zawołała gniewnie.

W oczach jej płonęły groźne światła.

Lecz on nie słuchał jej i mówił dalej.

— Uroda jest rzeczą znikomą. Lecz to, co byśmy urzeczywistnili na tronie węgierskim, ciągnęłoby się przez wieki, podczas gdy ten Anglik gniłby już dawno pod ziemią...

— Dosyć! — przerwała Walerja, wyrywając rękę z jego uścisku.

— Jeżeli nie lękasz się śmieszności — błagał, nie widząc wstrętu ani pogardy, malującej się na twarzy Walerji — jeżeli zechcesz zajrzeć poprzez cielesną powłokę do duszy, jeżeli zrozumiesz mnie istotnie, moja królowo, to razem sięgniemy po gwiazdy!

Znowu starał się pochwycić jej rękę, lecz Walerja odepchnęła go tak mocno, że się zachwiał.

— Jesteś... jesteś potworem! — rzekła wkońcu.

Karzeł uniósł się wolno. Z twarzy spłynęła krew i znikł z niej wszelki wyraz.

— Jestem najpokorniejszym sługą Jej Królewskiej Mości! — szepnął, chyląc głowę.

Walerja spojrzała na niego z bezgraniczną pogardą.

— Ten dom należy do pana, hrabio Gellercie, i nie mogę kontrolować pańskich czynów. Ale uprzedzam, że jeżeli się to powtórzy, polecę moim przyjaciołom opiekę nad panem. Rozumiesz mnie, hrabio?

— Pani!

I znowu pochylił głowę.

Księżniczka potarła chusteczką rękę, jak gdyby chcąc zetrzeć jego pocałunek.

Karzeł dostrzegł ten ruch i odwrócił głowę. Twarz jego skurczyła się boleśnie.

— Zjawił się pan Cairsdale na śniadaniu? — zapytała Walerja.

— Nie, pani.

— Pragnę zobaczyć się z nim jaknajszybciej.

— Gdzie jest von Bartzen?

— Wrócił do lasu, gdyż pragnie natrafić na ślady stóp młodej Amerykanki. Lecz nie przyjdzie mu to z łatwością, gdyż spadło dużo śniegu w międzyczasie...

— Gdy wróci, proszę go wezwać do mnie.

— Stanie się według woli waszej Wysokości — odrzekł Gellert.

Następnie opuścił pokój z niewzruszonym wyrazem twarzy. Lecz już za drzwiami opadła maska. Zagryzł wargi do krwi i wykrzywił palce. Bezgraniczne okrucieństwo malowało się na jego rysach.

Lecz gdy po chwili wpadł do pokoju, w którym znajdowała się Walerja, był przeraźliwie blady i drżał z lęku.

— Pokój Anglika jest pusty — zawołał, nie pomnąc o całym ceremonjale. — Pan Cairsdale zniknął.

XIX.

PRACOWNIA HRABIEGO GELLERTA

Odgłos zamykających się drzwi zabrzmiał niemile dla uszu Godfreya. Mogło być oczywiście i drugie wyjście, przez drzwi, za któremi zniknął hrabia Gellert, lecz Godfreyowi wydawało się to mało prawdopodobne. Korytarz z trzema zagłębieniami był niewątpliwie wyciosany w skale i stanowił przejście prowadzące dalej. Ale dokąd? Nie znajdowały się tu żadne okna a jednak młody człowiek zdawał sobie sprawę, iż korytarz był wentylowany, gdyż nie panował tu żaden zaduch i powietrze było świeże.

Zapalił lampę elektryczną, bowiem nie lękał się już, że ktoś wpadnie na jego trop. Ale położenie jego było i tak dosyć krytyczne.

Wyszedł z zagłębienia i jął posuwać się wzdłuż korytarza, przyglądając się bacznie ścianom i sklepieniu. Wysoko w murze znajdowały się trzy żelazne wentylatory. Zauważył też olbrzymie drzwi, pomalowane na czarny kolor i ponabijane gwoździami. Na lewem skrzydle drzwi był umocowany płaski dysk z dużym guzikiem pośrodku. Godfrey przyglądał się temu z zaciekawieniem, robił bowiem wrażenie dzwonka alarmowego. Nie zauważył w Kès dzwonków elektrycznych, a ten dysk robił wrażenie dzwonka. Lecz w jakim celu umieszczono go tu, w piwnicy?

Godfrey starał się otworzyć drzwi. Lecz wszystkie jego próby w tym kierunku były daremne. Drzwi nie ustępowały. Nagle przypomniał sobie, że nie słyszał zatrzaskiwania się tych drzwi, jak tych, przez

które Fraugott zszedł do piwnicy po Gellerta. Po dłuższem zastanowieniu przypomniał sobie również, iż nie słyszał skrzypnięcia drzwi, podczas gdy je otwierał Gellert. A jednak Gellert musiał je i otworzyć i zamknąć za sobą. Musiała w tem tkwić jakaś zagadka, bo przecież za temi drzwiami znajdował się Gellert, gdy szukał go Fraugott. Nie namyślając się dłużej, Godfrey nacisnął guzik.

Czyniąc to, był niespokojny i podniecony. A może jego rozumowania okażą się fałszywe i nie wydobędzie się z tej pułapki?

Lecz nie spotkał go zawód. Drzwi otworzyły się bez szelestu.

Godfrey znalazł się w podłużnym pokoju i zamknął za sobą drzwi, szczęśliwy, że wydostał się wreszcie z korytarza.

Lampka elektryczna oświetliła cały pokój. Zauważył więc kilka szaf przy ścianach, wmurowaną umywalnię i wodociąg, oraz otwór zasłonięty zieloną rypsową materją. Podszedł więc zaraz do tego otworu.

Ten pokój w podziemiach rozczarował go nieco. Wyobrażał sobie, że będzie w nim panowała atmosfera tajemniczości, że znajdzie tu kilka szkieletów i bodaj jednego niesamowitego, czarnego kota. Lecz pokój robił wrażenie przedpokoju. Na ścianie wisiał nawet kalendarz.

Za zieloną zasłoną znajdowały się drzwi. W zamku tkwił klucz. Godfrey pchnął drzwi i spostrzegł małe wązkie schody prowadzące w dół; przy tych schodach znajdowały się drugie drzwi, odemknięte. Nikłe światło dzienne padało na stopnie.

Światło! Podobna do bladych promieni, przeszywających ciemności podziemne, — nadzieja wstąpiła w serce Godfreya.

Godfrey podszedł szybko do drugich drzwi. Pchnął je, lecz coś ciężkiego stawiło mu opór. Wślizgnął się jednak między drzwi i cofnął nagle.

Deptał po ludzkiem ciele... Spojrzał z przerażeniem. Był to Miłosz! Nieżywy!

W szarem oświetleniu, padającem z zakratowanego okienka, ujrzał twarz pooraną zmarszczkami i siwą głowę swojego oddanego służącego. Rysy wykrzywione lękiem i bólem, oczy w słup, nabrzmiała szyja, z której zwisał kawał sznura, wszystko to świadczyło wyraźnie, jaką śmiercią skończył biedny Miłosz. Leżał na brudnej słomie. W pokoiku tym, wielkości psiej budy, panował straszny ziąb.

W tej chwili dopiero zdał sobie Godfrey Cairsdale sprawę po raz pierwszy, na jak wielkie niebezpieczeństwa naraża go misja, jaką mu powierzono.

Przyjął ją bez zastanowienia, gdyż lubił przygody, odrywające od jednostajnej pracy ministerjalno - dyplomatycznej. Przyjął ją, gdyż zawsze był gotów do czynu!

Spokojny tryb życia w Kès, miłe, uprzejme i gościnne przyjęcie hrabiego Gellerta dało mu uczucie bezpieczeństwa. Teraz dopiero rozumiał, w jaką zasadzkę mógł wpaść i jakie sidła zastawiono na niego.

Przed oczami zamajaczyła mu potworna sylwetka Gellerta z sznurem i latarnią w ręce.

Jeżeli zamordował bez wahania służącego, to jaki los spotka pana teraz, gdy wybiła już ostateczna godzina walki.

Fala gniewu ogarnęła Godfreya.

Więc wojna nie dała żadnego wyniku? Czyż nie pamiętano jej grozy, okrucieństw, bezmiaru nieszczęść? Więc ci szaleńcy, słuchając wrogich niszczycielskich podszeptów, chcieli wywołać jeżeli nie wojnę, to w każdym razie przelew krwi.

— Nie, do tego nie można dopuścić — szeptały pobladłe wargi Godfreya. — Trzeba przeciwdziałać tym szaleńcom, którzy zginą w bratobójczej walce. A ja muszę pomścić śmierć mojego biednego Miłosza...

Ciało biednej ofiary było jeszcze ciepłe. Godfrey rozluźnił sznur, łudząc się, że zdoła przywrócić życie starcowi. Ale daremnie...

Gellert dokonał swego dzieła.

Młody mężczyzna rozejrzał się wokoło siebie. Cela zawierała tylko dzbanek do wody, żelazny talerzyk i starą skrzynię.

Okienko w murze było okratowane. Godfrey przeskoczył przez trupa i wsparł się o okratowanie. Wyjrzał przez okno. O dwadzieścia stóp w dół ujrzał wartki strumień. Wychylił się jeszcze bardziej i zobaczył łódź umocowaną do żelaznego pręta.

A więc to tu była pracownia „dusiciela".

Na tej słomie, po której stąpał teraz Cairsdale, został też zamordowany nieszczęsny Rubis. Tutaj spotkała go kara za zdradę i przez to samo wgłębienie w murze (spostrzegł teraz Cairsdale pod oknem jakąś zasuwę żelazną, zamykającą otwór) wyrzucono jego ciało w nurt rzeki.

Bóg jeden raczy wiedzieć, ile niewinnych ofiar szalonego karła znalazło śmierć w tem samem miejscu, zanim pochłonęła je woda.

I tu niewątpliwie zamierzał Gellert skończyć w odpowiedniej chwili z Anglikiem, który psuł szyki!

Cairsdale sprawdził, czy otwór służący do wyrzucania ciał jest zaryglowany. Bez trudu usunął żelazną zasuwę.

A więc znalazł sposób wydostania się z pułapki! lecz nie sprawiło mu to radości, gdyż cały był opanowany uczuciem gniewu.

Mord, dokonany na niewinnym i nieszkodliwym staruszku, uważał za osobistą obelgę! Paliło go pragnienie, by stanąć oko w oko z nikczemnym mordercą, zmierzyć się z nim i roztrzaskać tę potworną głowę o mury kamienne zamku Kès. Zemścić się za krzywdę Miłosza! Unicestwić ohydnego zabójcę...

Lecz powoli Godfrey jął opanowywać stargane nerwy. Nie nadeszła jeszcze chwila, w której mógłby wymierzyć śmiertelny cios właścicielowi Kès. Taki czyn wydałby go jeszcze prędzej w ręce spiskowców. Należało działać zręcznie... tak jest, przedewszystkiem zręcznie, i trzeba było zaopatrzyć się w cierpliwość.

Godfrey miał do wyboru pozostać w tem miejscu i spróbować ucieczki, gdy wróci tu hrabia Gellert lub Fraugott, albo też — narażając się na to, że będzie spostrzeżony przez mieszkańców zamku — wskoczyć do łodzi i wrócić do Kès przez tajne przejście.

Zanim jednak zadecydował, co uczynić, zapragnął obejrzeć dokładnie pierwszy pokój. Wyszedł więc z pokoiku, gdzie leżał trup, wszedł na schody i pchnął drzwi.

Odchylając zieloną zasłonę, znalazł się twarzą w twarz z Fraugottem.

(D. c. n.).